

KAPUCYNI ⁱ MISJE



Biuletyn Misyjny Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów – Prowincji Krakowskiej

ISSN 1642-8897, rok 2022, nr 1



 **WYŚLIJ PĄCZKA
DO AFRYKI**

*Zbudujmy dla nich studnie
...byłem spragniony, a daliście Mi pić... (Mt 25,35)*



Drodzy przyjaciele misji kapucyńskich!



Od 24-go lutego trwa wojna w Ukrainie. Wiemy kto się jej dopuścił. Bardzo dużo i to różnych informacji, niejednokrotnie wątpliwych, dociera do nas przez media z terenów działań wojennych. Media epatują nas także obrazami z granicy ukraińsko - polskiej, gdzie tysiące uchodźców wojennych, przede wszystkim kobiety z dziećmi oraz wielu obcokrajowców, głównie studentów ucieka przed wojną do Polski. Gdyby nie ta fala uchodźców o różnym kolorze skóry, to nie mielibyśmy pojęcia, że w Ukrainie studiuje aż tylu młodych ludzi z całego świata. Od 1 marca w naszym klasztorze krakowskim dajemy schronienie ponad dwudziestu studentom z Konga Demokratycznego. Jedni zatrzymali się na chwilę szukając rodziny, znajomych w Belgii czy Francji, inni są od początku mając nadzieję na otrzymanie statusu uchodźcy w Polsce oraz na dokończenie studiów u nas czy w Ukrainie w formie on-line. Dzisiaj nie wiemy jak potoczą się losy wojny i losy tych ludzi. Pozostajemy z setkami pytań w głowach, na które nikt teraz nie jest w stanie udzielić odpowiedzi. Trwamy na modlitwie o pokój i nawrócenie serc tych, którzy rozpętali tę wojnę. Pomagamy jak tylko możemy i potrafimy uchodźcom ze Wschodu, a szczególnie ludziom w Ukrainie, którzy są pod opieką naszych braci kapucynów. O tym powiemy więcej w aktualnym numerze.

Brat Marek Miszczyński, Minister Prowincjalny, 5 lutego udał się z wizytą do misjonarzy pracujących w Czadzie i Republice Środkowoafrykańskiej. Jego obserwacje i przeżycia związane z tą podróżą znajdziecie wewnątrz tego numeru Biuletynu. W tym miejscu chcę tylko poinformować, że w dniach od 14 do 18 lutego w klasztorze w Bouar odbyło się spotkanie wszystkich braci kapucynów Kustodii RCA – Czad.



Od lewej: br. Robert Wnuk, br. Serge Mbremandji, br. Marcial Wago, br. Antonio Triani, br. Isidore Mbainodji.

Podczas tego spotkania, które w nomenklaturze zakonnej nazywamy kapitułą, wybrano na trzy lata nowy zarząd Kustodii. Kustoszem został Marcial Wago - Środkowoafrykańczyk, a radnymi bracia: Robert Wnuk, Prowincja Krakowska, Isidore Mbainodji - Czadyjczyk, Serge Mbremandji - Środkowoafrykańczyk i Antonio Triani - Włoch.

Po długim oczekiwaniu na decyzję Kurii Generalnej Zakonu o utworzeniu nowej placówki misyjnej w Sudanie Południowym, 1 marca wyleciał do Dżuby brat Robert Wieczorek. Kolejni bracia będą do niego dołączać w najbliższych miesiącach. Biskup diecezji Malakal chce nam powierzyć parafię w Rubkona. W tej parafii praktycznie nic nie ma. Ani kościoła, ani budynku gdzie bracia mogliby zamieszkać, a większość ludzi od siedmiu lat przebywa w obozie dla uchodźców leżącym tuż za miejscowością. Wszystko co stało tam wcześniej zostało zburzone podczas wojny, która zakończyła się odzyskaniem niepodległości w 2011r. Z tego krótkiego opisu przyszłej misji już widać, że będzie tam wiele do zrobienia i to we wszystkich aspektach życia. Zapewne nie raz będziemy mieli przyjemność zamieszczania w Biuletynie ciekawych relacji brata Roberta z pierwszej kapucyńskiej misji w tym najmłodszym kraju świata.

Po raz pierwszy na łamach Biuletynu gości brat Mariusz Matejko, który od dziewięciu lat pracuje wraz z francuskimi kapucynami w Algierii. Dzięki niemu mamy okazję poznać zupełnie inną część Afryki, bliższą Europie pod względem geograficznym, ale jakże odmienną pod względem rasowym, kulturowym i religijnym.

Jak co roku zorganizowaliśmy akcję „wyślij pączka do Afryki”. Trwa ona od tłustego czwartku do świąt Wielkanocnych. W ubiegłym roku, pomimo ograniczeń związanych z pandemią zebraliśmy podczas tej akcji 752 000 zł. Pieniądze te zostały przeznaczone na 19 projektów, z których większość już zostało zrealizowanych, a kilka jest w trakcie realizacji. Z opisami dzieł wykonanych przez misjonarzy w 2021 roku oraz projektami złożonymi w tym roku możecie się zapoznać na stronie www.paczek.kapucyni.pl. Podczas tegorocznej odsłony akcji, szczególny akcent stawiamy na problem braku wody pitnej. Poprzez budowę studni głębinowych chcemy polepszyć warunki higieniczne i zdrowotne tamtejszej ludności. Kiedy piszę te słowa udało się nam zebrać 62 % potrzebnej kwoty. Wybuch wojny w Ukrainie, dokładnie w tłusty czwartek 24 lutego, zdecydowanie spowodował zbiórkę środków. Mam nadzieję, że pomimo tych obiektywnych trudności uda nam się pomóc również ludziom z Afryki, o których wielki świat już dawno zapomniał i przyzwyczaił się do ich niskiego poziomu życia.

Wszystkim Darczyńcom misji i Czytelnikom Biuletynu życzę ubogacającej lektury.

br. Jerzy Steliga, sekretarz misyjny

*Pokój zostawiam wam,
Pokój mój daję wam,
Nie tak jak daje dzisiaj świat,
Powiedział do nas Pan (sł. i muz. Zofia Jasnota)*

*Drodzy Czytelnicy i Darczyńcy misji!
Nich Chrystus Zmartwychwstały
obdarzy Was pokojem i radością
Jego obecności w Waszych rodzinach.
Niech wszyscy cierpiący
w wyniku wojen na świecie
zostaną pocieszeni przez Chrystusa,
który cierpiał, umarł i zmartwychwstał,
abyśmy mieli życie; życie w obfitości.*



Kapucyni pomagają Ukrainie

Zanim przejdę do bieżącej sytuacji w Ukrainie, pragnę Wam przybliżyć w krótkim zarysie historię obecności braci kapucynów na tych ziemiach. Warto wiedzieć skąd tam się wzięliśmy. Zaczniemy jednak od początku.

Zakon Kapucynów jest częścią rodziny zakonów franciszkańskich. Powstał na mocy wydanego przez papieża Klemensa VII w 1528r. breve „Exponi nobis”, w którym pozwolił on kilku braciom z zakonu franciszkanów obserwantów na odłączenie się od dotychczasowej rodziny zakonnej i prowadzenie życia eremickiego oraz noszenie brody i habitu ze spiczastym kapturem.

Do Polski kapucyni zostali sprowadzeni w 1681r. przez króla Jana III Sobieskiego. Pierwszy klasztor powstał w Warszawie w latach 1683-1694, drugi w Krakowie w 1695, kolejne we Lwowie 1707r. i Lublinie 1721r. Oprócz Lwowa, na terenach współczesnej Ukrainy kapucyni osiedlali się w następujących miejscowościach (wymieniam według porządku chronologicznego): Olesko, Mariampol, Zbrzyż, Winnica, Uściłóg (Rozjampol), Ostróg, Stary Konstantynów, Dunajowce, Włodzimierz Wołyński, Kutkorz, Krupa, Lubieszów, Chodorków, Kuna, Brusilów, Jurewicz, Śmiła. Po zakończeniu II wojny światowej i ustaleniu nowych granic Polski kapucyni zostali usunięci z klasztorów na terenie ZSRR. W 1989r. kapucyni wrócili na Ukrainę do klasztoru w Starokonstantynowie i w 1992r. do Winnicy. A także powołali nowe miejsca obecności: w 1990r. w Krasilowie, w 1993r. w Kijowie, w 1999r. w Dniepropietrowsku (który od 2016r. zmienił nazwę na Dniepr) w 1999r. Dnieprodzierżyńsku (od 2016r. zmiana nazwy na Kamieńskie) w 2012r. w Użgorodzie i w 2021r. we Lwowie. Po powrocie na Ukrainę w 1989r. bracia zdecydowali się pracować duszpastersko przede wszystkim pośród ludności ukraińskiej, co w perspektywie czasu było słuszną decyzją.

Aktualnie w tych ośmiu wspólnotach żyje 31 braci. Przełożonym Kustodii Ukrainy jest br. Błażej Suska, który przekazuje nam wiadomości z poszczególnych klaszto-

rów. Klasztorne piwnice zamieniły się w schrony dla ludności. Niektórzy w nich śpią, inni wracają do domów. Bracia przyjmują uchodźców z terenów walk. Rozwożą dary, które otrzymali z Polski i innych krajów Europy. Podtrzymują na duchu ludzi modląc się z nimi i sprawując dla nich Eucharystie nawet w piwnicach. Nikt z braci kapucynów nawet nie pomyślał, aby ewakuować się do Polski. Br. Błażej w pierwszym dniu wojny napisał: „Jesteśmy wszyscy na swoich miejscach. Bierzymy przykład z braci z Republiki Środkowoafrykańskiej, którzy przeżyli wojnę. Byli blisko Boga i ludzi”.

Od momentu napadu wojsk rosyjskich na Ukrainę cała uwaga świata skupia się na Wschodzie i teraz potrzebna jest pomoc ludziom, którzy cierpią z powodu wojny. Do pomocy kapucynom pracującym w Ukrainie i ludziom będącym pod ich opieką przyłączyła się także Fundacja Kapucyni i Misje. Utworzona została specjalna strona www.ukraina.kapucyni.pl Pomoc dla Ukrainy. Na tej stronie umieszczamy wszystkie informacje (listy, zdjęcia, filmy) nadsyłane przez braci z Ukrainy.

Drodzy Czytelnicy, Przyjaciele misji, jeśli chcecie wesprzeć Ukrainę możecie to zrobić poprzez braci kapucynów tam żyjących i pomagających ofiarom wojny, uchodźcom i swoim parafianom. Prosimy o wpłaty – darowizny na konto Fundacji: **47 1240 4533 1111 0010 3492 9934** wpłaty w PLN.

Jeśli dokonacie przelewu bezpośrednio z własnego konta lub wpłatę na pocztę, prosimy o podanie adresu e-mail w tytule wpłaty (oprócz dopisku – Pomoc Ukrainie). Wówczas będziemy mogli przesłać Wam podziękowanie za Waszą pomoc. Można dokonać wpłat także przez stronę www.ukraina.kapucyni.pl przy użyciu karty płatniczej lub systemu Blik. Każdą wpłaconą darowiznę można odliczyć od dochodu przed opodatkowaniem i zmniejszyć sobie w ten sposób podatek, który każdy jest zobowiązany płacić od dochodów.

Wspólnie módlmy się za Ukrainę:

Maryjo, Królowo Pokoju wybłagaj nam pokój! Święty Michale, patronie Kijowa i Ukrainy i Ty święty Jerzy męczenniku, patronie Rosji – Wy którzy pokonaliście Smoka, wstawcie się teraz, gdy Ukraina i cały świat potrzebuje Waszego zwycięstwa nad Smokiem zła. Amen.



Wizyta w Afryce: Kustodia Czadu i RŚA

pisze br. Marek Miszczyński, Minister Prowincjalny



„Człowiek planuje, a Bóg kieruje” - doświadczyłem tego powiedzenia, które powstało w oparciu o Prz 16,9, już na samym początku mojej podróży do Afryki. Planowałem ją z rocznym wyprzedzeniem, żeby móc odwiedzić braci posługujących w Kustodii Czadu i Republiki Środkowoafrykańskiej oraz uczestniczyć w tamtejszej Kapitułe. Wizyta miała trwać miesiąc czasu, biorąc pod uwagę odległości pomiędzy poszczególnymi miejscami, które zamierzałem odwiedzić i cały tydzień przewidziany na samą tylko kapitułę. Wszystko przebiegało zgodnie z planem do dnia poprzedzającego wyjazd. 26 stycznia bowiem otrzymałem pozytywny wynik testu w kierunku Covid 19, który uniemożliwił mi wylot planowany na następny dzień. Konieczność 10 dni izolacji i skrócenie przez to pobytu w Afryce poddała w wątpliwość cały wyjazd. Planowałem bowiem przylecieć do stolicy Czadu, N'Djameny i stamtąd w ciągu kolejnych dni przemieścić się samochodem aż do stolicy RŚA - Bangui. Jest to jednak trasa licząca ponad 1300

km, a czas pokonywania odległości w Afryce, z racji złej jakości dróg, wydłuża się wielokrotnie w porównaniu do Europy. Istniała więc realna obawa, że nie zdążę przebyć całej planowanej drogi. Po skrupulatnym przeliczeniu pozostałych mi do dyspozycji dni, uznaliśmy jednak razem z braćmi, że można podjąć się tego wyzwania. Przesunęliśmy więc lot



Prowincjał z polską ekipą misjonarzy



Przy nowej studni w Bessao w parafii Baibokoim, Czad

i w sobotę 5 lutego wyleciałem z Krakowa do N'Djameny. Po 20 godzinach podróży o północy wylądowałem w stolicy Czadu. Pierwsza nowość związana z klimatem dotyczyła nie tyle wysokiej temperatury (bo przyleciałem w nocy, poza tym w styczniu i w lutym temperatury są niższe od tych w pozostałych miesiącach), ile wilgotności powietrza. Jej niski poziom był mocno odczuwalny już od pierwszych chwil. Wszak znajdowałem się u wrót Sahary. 100 km na północ od N'Djameny rozpoczyna się już regularna pustynia. Niedługo później okazało się jak mój organizm reaguje na tę niską wilgotność: miałem częste krwawienie z nosa. Udało mi się je jednak samodzielnie złagodzić przez ręczne nawilżanie. Na lotnisku czekał na mnie br. Robert Wnuk. Do domu pojechaliśmy bocznymi drogami miasta, bo przy głównych znajduje się wiele patroli wojskowych, które różnie mogą zareagować na nieoczekiwane zatrzymanie samochodu, chociażby z powodu przebicia opony. Najlepiej wówczas szybko



wyjść z samochodu z podniesionymi rękami i krzyczeć, żeby nikt nie strzelał... Cóż, Czad to kraj, w którym jest wysokie zagrożenie atakami terrorystycznymi. Niedaleko stolicy nad jeziorem Czad, jak powszechnie wiadomo, stacjonują grupy bojowników Boko Haram. W całym kraju panuje zasadniczo kultura muzułmańska. Widać to po ubiorze (długie stroje i charakterystyczne turbany na głowach mężczyzn oraz zasłonięte twarze kobiet), po języku (obok francuskiego oficjalnym językiem jest arabski) i po religii (dominuje islam z typowym widokiem meczetów). Bracia kapucyni od niedawna są w stolicy Czadu. Rok temu została nam powierzona parafia, której proboszczem został br. Robert. Budynek kościoła składa się na razie z potężnego dachu wspartego na betonowych filarach. Przed braćmi i parafianami pozostało jeszcze dużo pracy do zakończenia budowy. To tutaj uczestniczyłem w pierwszej Mszy św. na ziemi afrykańskiej z właściwą sobie oprawą liturgiczną, czyli rytmicznymi śpiewami, tańcami i aktywnym udziałem świeckich. Jako że to stolica kraju i większość ludzi mówi po francusku, w takim też języku była sprawowana liturgia. Podobnie było w Bangui, stolicy RŚA. Natomiast im dalej od centrum miejskiego, tym bardziej dominują języki lokalne. W Afryce widoczna jest różnica w przeżywaniu niedzieli. Celebracja Eucharystii nie kończy „pobytu w kościele”. Po Mszy św. odbywają się spotkania różnych grup parafialnych, ludziom najuboższym rozdawane są dary zebrane podczas liturgii, dzieci gromadzą się na różnego rodzaju zajęciach, także po południu.

Z N'Djameny wyruszyłem na południe kraju, do miasta Moundou, oddalonego o prawie 500 km. Całodniowa podróż zakończyła się późno jak na warunki afrykańskie, bo dopiero o 21.00 byliśmy na miejscu. Zwykle aktywność ludzka w Afryce rozciąga się pomiędzy godz. 6.00 a godz. 18.00. Podyktowane to jest brakiem elektryfikacji i światłem słonecznym, które praktycznie w ciągu całego roku operuje w tym przedziale czasowym. Tylko niewielu ludzi mieszkających w większych miastach może sobie pozwolić na korzystanie z oświetlenia elektrycznego, bogatsi wykorzystują kosztowne w użyciu spalinowe generatory prądu. Misje, które stanowią bazy mieszkaniowe i duszpasterskie dla misjonarzy korzystają zazwyczaj z tej drugiej opcji, dlatego generator uruchamiany jest tylko wieczorami na dwie, trzy godziny. Przez większą część nocy nie ma więc dostępu do prądu. W Moundou, choć nie ma aktualnie braci Polaków, zatrzymałem się na nocleg, aby odpocząć po długiej podróży. W gościnę, podobnie jak ja, tego samego dnia dotarli tam bracia Piotr Walocha i Zenek Kapka, z którymi następnego dnia kontynuowałem podróż. Najpierw odwiedziliśmy ośrodek dla niepełnosprawnych założony przez br. Michela Guimbaud, francuskiego kapucyna i prowadzony aktualnie przez braci z Czadu. Jest to centrum znane w promieniu kilkuset kilometrów (także w sąsiednich RŚA i Kamerunie) pomagające ludziom z niepełnosprawnością fizyczną spowodowaną głównie przez chorobę Heine Medina, nieprawidłowym porodem czy niedożywieniem, ale także okaleczeniami wojennymi po wybuchach min czy postrzałach. W ośrodku produkowane są protezy, prowadzone rehabilitacje i organizowane misje lekarskie z udziałem lekarzy spe-

cjalistów z Europy, którzy przyjeżdżają cztery razy w roku na około dwa tygodnie, by przeprowadzić trudne i skomplikowane operacje chorych ludzi.

Na obiad dotarliśmy do parafii w Bam, gdzie posługują bracia Piotr Walocha i Paweł Kubiak. Oprócz nich we wspólnocie jest jeszcze dwóch braci autochtonów. Br. Piotr jest gwardianem wspólnoty i proboszczem parafii. Od wielu lat przebywa w Czadzie, dlatego najlepiej z naszych misjonarzy zna tutejszy lokalny język ngambaye. Nauczenie się go jest nie lada sztuką. Należy on bowiem do języków tonalnych, czyli takich, w których każda sylaba ma przypisany pewien ton dźwięku, wymagający odpowiedniej modulacji głosu



Poczęstunek na spotkaniu z ubogimi

i zmieniający znaczenie całego wyrazu. Br. Paweł rozwinął bardzo pięknie duszpasterstwo dzieci i młodzieży, łącząc modlitwę (nabożeństwo do Bożego miłosierdzia) z zabawą, zajęciami sportowymi i ćwiczeniami. Bam to typowa parafia wioskowa w południowym Czadzie. Duszpasterstwo prowadzone jest, jak zwykle na misjach, dwukierunkowo: na terenie samej misji, jako swego rodzaju centrum duszpasterskie oraz w okolicznych wioskach. W Bam działa szkoła dla katechistów, czyli formacja ludzi odpowiedzialnych za duszpasterstwo w poszczególnych wioskach. Misjonarze bowiem nie są w stanie osobiście dotrzeć z cotygodniową regularnością do wszystkich miejsc, zarówno z powodu dużej ilości wiosek (nieraz jest ich nawet 40), jak i odległości od misji (najbardziej oddalone są nawet w promieniu 40 km). Duszpasterstwo musi się więc oprzeć na uformowanych świeckich katechistach. Formacja trwa zwykle dwa lata i odbywa się w dwóch pięciomiesięcznych cyklach: od stycznia do czerwca. Kandydaci na katechistów przybywają z całymi rodzinami tworząc swego rodzaju okresową „wioskę na misji”, ucząc się, modląc i pracując. Mężczyźni uczą się nie tylko prawd wiary, ale także praktycznych umiejętności przydatnych w codziennym życiu. Podobnie kobiety, oprócz pisania i czytania, edukowane są w zakresie prac domowych, upraw, zdrowia itp. Dzieci chodzą do szkoły. Katechista ma być zatem kimś więcej niż tylko „nauczycielem-katechetą”, który prowadzi lekcje dla innych; kimś więcej niż „kościelnym”, który opiekuje się kaplicą w wiosce; kimś więcej również

niż „animator wspólnoty”, który prowadzi modlitwy w zastępstwie prezbytera. Katechista ma być przede wszystkim świadkiem wiary, który wraz z całą rodziną stara się żyć po chrześcijańsku.

Z Bam pojechałem do pobliskiego Baibokum, miejsca posługi brata Zenona Kapki. We wspólnocie jest trzech braci: Czadyjczyk (gwardian i proboszcz), Włoch i Polak. Br. Zenek ma pod opieką duszpasterską wioski najbardziej oddalone od misji (ponad 40 km) w górach Mont de Lam. Jego posługa wiąże się więc często z kilkudniowymi wyjazdami, w których odwiedza poszczególne wioski, śpiąc w nich, jedząc i modląc się razem z ludźmi. Baibokum to miejsce, w którym przez ponad 50 lat posługiwał o. Attilio, włoski kapucyn - misjonarz, zapamiętany przez ludzi jako „ojciec języka mbum” (to jeden z lokalnych języków, obok najbardziej rozpowszechnionego w Czadzie języka ngambaye). Przez swoją długoletnią obecność w jednym miejscu, życzliwy kontakt z tamtejszą ludnością i cierpliwa, wręcz monastyczna praca, o. Attilio zdołał usystematyzować i opracować gramatykę tego języka, stworzyć różnego rodzaju słowniki, dokonać tłumaczeń najważniejszych tekstów potrzebnych do duszpasterstwa (biblijne, liturgiczne, katechetyczne etc.) i chyba jak nikt dotąd z białych misjonarzy, poznać tamtejszą kulturę. Owocem tego jest m. in. muzeum, które założył i które istnieje do dzisiaj, ale przede wszystkim pamięć, którą po sobie pozostawił wśród braci i tamtejszych ludzi. Jego grób jest przez wszystkich otaczany szacunkiem.

Celem kolejnego etapu mojej drogi było Ngaoundaye, wioska w Republice Środkowoafrykańskiej, gdzie posługuje brat Maciej Jabłoński. Mimo stosunkowo niewielkiej odległości pomiędzy Baibokum a Ngaoundaye, podróż i tak trwała cały dzień. Powodem jest zamknięta granica między obu państwami (Czadem i RŚA) od czasu wybuchu w RŚA wojny w 2012r. Zmusza to do obrania okrężnej drogi przez

Kamerun. Pierwszą część drogi z Czadu do Kamerunu przebyłem więc z br. Zenkiem. W Kamerunie spotkaliśmy się z br. Maćkiem i z nim pojechałem dalej do RŚA. Trzeba tu dodać, że wydłużona podróż spowodowana była również nieoczekiwanymi trudnościami na przejściach granicznych. Związane to było z niestabilną sytuacją polityczną w tamtym regionie, z korupcją urzędników państwowych i z właściwym sobie afrykańskim „bezczasowym” stylem życia. W Afryce funkcjonuje powiedzenie, które nie jest pozbawione podstaw: „Europejczycy mają zegarki, ale nie mają czasu; Afrykańczycy natomiast nie mają zegarków, ale mają czas”. Dzięki zaradności braci i pomocy biskupa Mirosława Gucwy z Bouar w RŚA (Polaka z diecezji tarnowskiej), udało się ostatecznie rozwiązać wszystkie problemy.

W Ngaoundaye istnieje trzyosobowa wspólnota, złożona z brata Macieja, będącego gwardianem i proboszczem oraz dwóch braci autochtonów. Br. Maciej, oprócz zwykłej posługi duszpasterskiej, sporo swojego czasu poświęca także pracy w tamtejszym szpitalu. Cały obiekt przypomina bardziej szpital polowy niż klinikę specjalistyczną. Stanowi on główne miejsce ratunku dla prawie 200 tys. ludzi, którzy borykają się z różnymi chorobami i dolegliwościami, na ogromnym północno - zachodnim obszarze RŚA. Świadczona jest tu pomoc dla chorych dzieci, dla kobiet z powikłaniami okołoporodowymi, dla chorych z zaawansowaną i ciężko przechodzoną malarią, chorych na AIDS, dla rannych w różnych starciach zbrojnych, których niestety nie brak w tamtym rejonie. Tu znajdują także miejsce chorzy terminalnie, którzy mają możliwość odejść z tego świata w godnych warunkach. Problemem, z którym boryka się szpital (jak większość w Afryce) jest brak wykształconego personelu i brak sprzętu medycznego. Starania br. Macieja, obok codziennej posługi, idą w tym kierunku, aby te braki stawały się coraz mniej odczuwalne. Jego zaangażowanie obejmuje także dzieci, które



Wizyta w nowej szkole w Bama, parafia Ngaoundaye



utraciły rodziców w wyniku chorób czy zamieszek zbrojnych. Pozostawione bez należytej opieki i edukacji znalazły swoje miejsce w centrum stworzonym specjalnie dla nich, gdzie mogą nauczyć się przynajmniej czytać i pisać, a przy tym coś zjeść i ubrać się. Ngaoundaye jest obecnie najbardziej niestabilnym rejonem, gdzie posługują bracia z Polski. Wciąż są tam obecne oddziały wojska i uzbrojone grupy osób, które trudno przypisać do jakiegoś formalnego ugrupowania. Jest to pokłosie różnych wojen i rebelii, które co



Błogosławieństwo na Mszy św. w Bocaranga

jakiś czas wybuchają na większą skalę w Afryce. Jest to jak ciągle tłący się żar, z którego bardzo łatwo może powstać duży pożar. Niestety stan ten jest elementem polityki bogatych krajów „zachodniego świata”, które dzięki temu mogą bez większych przeszkód czerpać korzyści z bogactw naturalnych afrykańskiej ziemi. Obnaża to ogromną hipokryzję tych, którzy publicznie deklarują, że walczą o prawa człowieka, o pokój i sprawiedliwość, walczą z głodem i chorobami, a w skrytości handlują bronią i rękami najemników dokonują przewrotów politycznych. Z tym większą świadomością pozostaje się modlić: „Przyjdź Królestwo Twoje, Panie”.

Z Ngaoundaye pojechałem dalej na południe, do Bocaranga - do parafii, w której jako gwardian i proboszcz posługuje brat Tomasz Światała. Jest we wspólnocie z trzema Włochami, którzy są na misjach od wielu lat. Najstarszy z nich obchodził niedawno 60 lat posługi misjonarskiej! Bocaranga to jedna z największych parafii w diecezji Bouar. Również tu

istnieje szkoła dla katechistów i wiele innych dzieł parafialnych: szkoły dla dzieci w różnym wieku, pomoc dla najbardziej potrzebujących, a ostatnio także duszpasterstwo w więzieniu. Całą tę działalność na miejscu koordynuje br. Tomasz, z racji funkcji proboszcza, natomiast pozostali bracia jeżdżą z posługą do wiosek. Zaskakująca dla mnie była wizyta w więzieniu: niski, mały budynek, z jednym pomieszczeniem dla więźniów, w którym stłoczeni, przebywają praktycznie dzień i noc, z przerwą tylko na posiłek i na załatwienie potrzeb fizjologicznych. W dniu naszej wizyty w więzieniu przebywało 6 mężczyzn w różnym wieku. Najmłodszy z nich to Kameruńczyk, który został oskarżony o nielegalne poszukiwanie złota. Bez znajomości języka, bez dokumentów i bez rodziny jest zupełnie bezradny. Siedzi tam już od 6 miesięcy i nie ma żadnej perspektywy na uwolnienie. Jest całkowicie zdany na urzędników państwowych, którzy „pracują” w swoim rytmie, nie mając żadnej dodatkowej „stymulacji finansowej” od jego rodziny. W porównaniu z pozostałymi więźniami, którzy dopuścili się poważnych przestępstw, jego przewinienie wydaje się nieproporcjonalnie małe. To dla takich osób br. Tomasz regularnie odwiedza więzienie, próbując im pomóc. Drugim doświadczeniem z Bocaranga, które zapamiętałem, był odpust parafialny. Zobaczyłem nie tylko tłum ludzi w kościele (tak jest zwykle w niedziele), ale ludzi, którzy pomimo biedy i uciemnienia ciągłymi zamieszkami, potrafią się cieszyć i bawić; zobaczyłem ludzi radosnych i zadowolonych z życia; spotkałem ludzi hojnych i otwartych, gotowych do dzielenia się tym, co mają. W czasie Mszy św. odbyły się dwie procesje z darami: jedna dla najuboższych, a druga dla mnie, jako wyraz ich gościnności. W czasie trwania procesji przychodziło mi na myśl stwierdzenie: „najbardziej hojnym jest ten, kto posiada mało”.



Procesja z darami w naturze na Mszy św. w Bocaranga

Z Bocaranga udałem się bezpośrednio do Bouar, gdzie znajduje się dom formacyjny dla braci studentów. To największy dom Kustodii Czadu i RSA, dlatego tam też odbyła się Kapituła braci. Wybrano na niej nowy zarząd Kustodii,



w skład którego wszedł także Polak: br. Robert Wnuk, omówiono bieżące sprawy i wskazano dalsze kierunki rozwoju. W Bouar posługuje brat Benedykt, który dla wielu osób w Polsce kojarzy się z African Music School. To inicjatywa podjęta przez niego kilka lat temu, ukierunkowana na stworzenie miejsca, w którym utalentowane dzieci z ubogich rodzin będą mogły otrzymać profesjonalną edukację muzyczną. Mimo prowadzonych jeszcze prac budowlanych, zajęcia w nowych klasach szkoły już się odbywają, stanowiąc dla większości z dzieci jedyną szansę na jakąkolwiek naukę. Trzeba dodać w tym miejscu, że w RŚA aż 65 procent dzieci zmuszanych jest do pracy fizycznej. Niektórzy młodociani rekrutowani są też do grup rebelianckich, a władze państwowe przez ponad pół wieku nie wybudowały ani jednej szkoły. W rezultacie to Kościół i misjonarze są promotorami edukacji, pomagając najmłodszym nie tylko zapomnieć o trudnych realiach codzienności i powojennej traumie, ale dając im też nadzieję na normalne życie. Cała idea szkoły prowadzonej przez br. Benka zmierza do wykształcenia nie tylko muzyków, ale także rodzimych nauczycieli, którzy będą mogli dalej kształcić swoich następców. Ta zasada już powoli zaczyna działać: starsze dzieci uczęszczające do szkoły, próbują prowadzić niektóre zajęcia dla swoich młodszych kolegów i koleżanek, obejmując edukacją w ten sposób coraz większą liczbę dzieci.

Ostatnim etapem mojej podróży była stolica RŚA - Bangui, gdzie posługuje brat Andrzej Barszcz. Jest to miasto położone na południu kraju, blisko lasów tropikalnych. O tej bliskości świadczą dwa zjawiska: pierwsze to duża wilgotność powietrza, a drugie to kolumny ciężarówek załadowanych ogromnymi pniami drzew - oznaka masowej wycinki drzew tropikalnych i rabunkowej gospodarki, obejmującej zresztą także inne bogactwa naturalne kraju, jak złoto i diamenty. Najsmutniejsze jest to, że zyski z tej katastrofalnej działalności trafiają w części do kieszeni urzędników, potężna ich część przysługuje bogatym tego świata, a obywatele RŚA



Pożegnanie z Afryką nad rzeką Ubangi

nie mają żadnych korzyści. W Bangui, a właściwie w Bimbo - dzielnicy miasta, znajduje się nowicjat Kustodii Czadu i RŚA, czyli dom formacyjny, w którym kandydaci do zakonu przygotowują się do złożenia pierwszych ślubów. Br. Andrzej uczestniczy w ich formacji przez rozmowy i wykłady, wspomagając w ten sposób magistra nowicjatu. Jest też wikarym wspólnoty, zastępując i wspierając w obowiązkach gwardiana. Obaj mieszkający z nim współbracia są autochtonami. Br. Andrzej prowadzi także duszpasterstwo powołaniowe, organizując spotkania dla tych, którzy wyrażają zainteresowanie wstąpieniem do zakonu. Choć chętnych jest wielu, to aby dobrze rozeznaczyć ich motywacje potrzeba wiele roztropności i doświadczenia, których br. Andrzejowi nie brak. Młodzi chłopcy chcą wstąpić do zakonu czasem ze zwykłego pragnienia wyrwania się ze swego środowiska i chęci awansu społecznego. Wszak zakon, jako instytucja kościelna, daje możliwość dobrego wykształcenia, a więc i lepszego życia w przyszłości. Bogu jednak trzeba dziękować, że spotkania powołaniowe cieszą się dużą frekwencją, a w nowicjacie obecnie przebywa 13 braci. W Bangui udało mi się jeszcze zobaczyć katedrę, w której papież Franciszek podczas swojej wizyty pasterskiej w 2015 roku otworzył pierwsze „Drzwi Miłosierdzia”, w Roku poświęconym tej Bożej tajemnicy. Złożyłem wizytę w Nuncjaturze Apostolskiej i spędziłem parę chwil w malowniczej okolicy nad rzeką Ubangi, stanowiącą granicę z Republiką Demokratyczną Kongo. Tam przy zachodzie słońca nastąpiło „pożegnanie z Afryką”. W sercu jednak powiedziałem „do widzenia”, bo ufam, że byłem tam pierwszy, ale nie ostatni raz.



na misji w Bimbo



Panie, uczyn z nas narzędzia Twojego pokoju!

pisze br. Maciej Jabłoński z Ngaoundaye w RŚA



W ostatnich dniach uwaga świata skoncentrowała się na wojnie w Ukrainie, na cierpieniu naszych braci i siostr z za wschodniej granicy. Informacje o tym konflikcie zbrojnym dotarły także do Ngaoundaye. Tutejsi chrześcijanie każdego dnia dopytują się o rozwój sytuacji, przeżywają to wszystko, co się dzieje, i kręcą głowami z niedowierzaniem. Skupiamy się przede wszystkim na modlitwie o pokój. W każdy czwartek spotykamy się na adoracji Najświętszego Sakramentu. To, co mnie bardzo cieszy, to fakt, że na adorację przychodzi mnóstwo dzieci. Nabożeństwa Drogi krzyżowej w czasie Wielkiego Postu postanowiliśmy przeżywać także w intencji pokoju na świecie.

Ktoś się może zastanawiać, skąd to zainteresowanie mieszkańców Ngaoundaye, małej miejscowości w środku Afryki, wojną na Ukrainie. Przecież dla obywatela Republiki Środkowoafrykańskiej Europa Wschodnia to zupełna egzotyka. Odpowiedź jest prosta: ludzie z Ngaoundaye, niestety, bardzo dobrze wiedzą, co znaczy wojna, śmierć i cierpienie. Od czterech lat ponownie zmagamy się z niepokojami wojny, a od roku żyjemy w bezpośredniej strefie działań wojennych. Początek tej odsłony wojny należy datować na grudzień 2018 roku, kiedy to na terenie parafii Ngaoundaye zainstalowała się grupa rebeliancka „Retour, Reclamation, Rehabilitation”, w skrócie 3R. Wtedy zaczęły się porwania, wymuszenia, napadnięcia. Jednak mimo strachu wywołanego obecnością rebeliantów, życie biegło swoim rytmem. Do misjonarzy rebelianci z 3R odnosili się niemal z szacunkiem. Ja sam zyskałem specjalne względy i zaufanie dzięki pracy w szpitalu, gdzie pomagałem również rannym z ich oddziałów.

Niestety, sytuacja bardzo się pogorszyła wraz z wojskową interwencją na naszym terenie. Jej celem było wyparcie rebeliantów. Operacją tą dowodzili najemnicy z rosyjskiej, prywatnej kompanii wojskowej, zwanej potocznie „grupą Wagnera” – ci sami, którzy pojawili się na Ukrainie jako tzw. „zielone ludziki”. Ich wjazd na teren naszej parafii przypomniał przejazd Armii Czerwonej. Strzelali do zwierząt, kradli, wprowadzali terror. Zaatakowali również pozycje wojskowe w Czadzie, sąsiednim państwie, co wywołało konflikt na granicy i postawiło w stan gotowości wojska czadyjskie. Nad głowami latały nam bojowe myśliwce. Agresja wagnerowców wzmogła się jeszcze bardziej, gdy ponieśli ofiary, bo jeden z ich samochodów wjechał na minę i wyleciał w powietrze. Trzeba przyznać, że mimo wszystko byli skuteczni w przeganianiu i strzelaniu do rebeliantów. Jednak gdy Rosjanie z grupy Wagnera oddali bazy wojskom lokalnym, wszyscy odetchnęliśmy z ulgą.

Rebelianci w większości powrócili na swoje dawne stanowiska. Nadal palą i pacyfikują wsie. Szacuje się, że od początku wojny od wybuchów min i ostrzeliwania zginęło prawie 500 osób. Skutkiem są spalone i opustoszałe miejscowości. Wojska lokalne ustawiły mnóstwo punktów kontrolnych – barier – gdzie miejscowa ludność jest okradana z pieniędzy za „prawo przekroczenia bariery”. Wojsko lokalne zamiast bronić mieszkańców, grabi to, co jeszcze im zostało. Ludzie po raz kolejny pozbawieni są nadziei na lepsze jutro.

Perspektywa życia w naszym rejonie RŚA jest bardzo ponura. Świątelnikiem nadziei jest jedynie postawa chrześcijan, którzy pomimo cierpienia wspierają się wzajemnie i zbierają na modlitwie. Jeśli mogą, to przychodzą do kościoła, a jeśli nie mają możliwości, to zbierają się na modlitwę pod drzewem. Ostatnio, po dwóch miesiącach, udało mi się odwiedzić chrześcijan w Mberewock, co nappełniło mnie wielką radością. Po wielu nieudanych próbach dodzwoniłem się do rebeliantów i poprosiłem o wolny przejazd, aby dla wiernych w Mberewock odprawić Eucharystię. Udało się – dostałem pozwolenie. Były łyzy radości ze strony mieszkańców i z mojej, gdy dotarłem do wioski. Po Eucharystii zrobiłem kilka zdjęć kościoła, dokumentując podziurawiony kulami dach świątyni i obraz Jezusa Miłosiernego pocięty maczetami. Udało mi się też później spotkać z dowódcami rebeliantów 3R na naszym terenie. Próbuję pertraktować z nimi, aby choć trochę przestali nękać miejscową ludność. Proszę Ducha Świętego o dary mądrości, rozumu, męstwa, aby rozmowy przyniosły dobre owoce.

Pan jest wielki!



Msza św. w Mberewock

W tym roku, już po raz dziesiąty, prowadziliśmy akcję pomocy pod hasłem „Wyślij pączka do Afryki”. Jest to nasza główna akcja pozyskiwania funduszy na projekty, które nasi misjonarze chcą zrealizować w Afryce. Mamy projekty budowy studni, aby ludzie już więcej nie pili wody z kałuży, dzieci nie cierpiały z powodu pasożytów, a kobiety nie musiały chodzić wiele kilometrów żeby przynieść do domu misę czystej wody. Mamy projekty dożywiania i edukacji dzieci. Bo wiemy, że rodziców nie stać na posłanie dziecka do szkoły, ponieważ każda szkoła w RŚA jest płatna. Rodzice są ubogimi rolnikami, którzy sami nie skończyli żadnej szkoły. Dlatego zamiast posłać dziecko żeby nauczyło się czytać, pisać i liczyć, wolą posłać je na pole, dzięki czemu mają dodatkowe ręce do pracy. Bez pomocy z zewnątrz, bez zdjęcia z rodziców ciężaru opłacenia chesnego, nic w tym „zaklętym kręgu nędzy” nie zmieni się. Potem te dzieci w dorosłym życiu są analfabetami, wykluczonymi społecznie. Zwłaszcza dziewczyny i kobiety ponoszą konsekwencje braku edukacji. Nie znają podstaw francuskiego - języka urzędowego w kraju, nie mogą znaleźć pracy. Oprócz pracy na roli nie mają żadnych możliwości zarobkowania i utrzymania rodzin. Jeśli znajdą dobrego męża, ich przyszłość nie jest straszna. Gorzej, gdy zostaną z dziećmi same. Wtedy kobiety i dzieci skazane są na nędzę. Misjonarze wychodząc naprzeciw tym potrzebom, pomagają wielu samotnym matkom, wdowom i sierotom, prowadząc m.in. alfabetyzację dorosłych, szkoły krawieckie dla dziewczyn.

Każdy projekt, który misjonarze chcą zrealizować w Afryce jest ważny i potrzebny. Misjonarze żyjąc wśród Afrykańczyków widzą ich potrzeby i racjonalnie starają się pomóc. Żeby było to możliwe do zrobienia, aby powstały studnie, szpitale, szkoły i kaplice, my musimy finansowo uczestniczyć w tych dziełach.

Gdyby budowa studni w czadyjskiej wiosce była możliwa bez naszego udziału, to pewnie wielu mieszkańców korzystałoby już od dawna z dobrodziejstwa czystej i zdrowej wody. Niestety nie wszędzie jest to możliwe. Jeżeli w wiosce mieszkają głównie ubodzy rolnicy, nie ma tam szkoły, ośrodka zdrowia, a mieszkańcy nękani są przez rebeliantów i okradani z pieniędzy i zapasów, to nie są w stanie wyłożyć 6 tys. euro na wykopanie studni. A woda znajduje się najczęściej na głębokości ok. 60 m, więc tylko studnia głębinowa kopana maszynowo zda tam egzamin. Taki koszt budowy studni przekracza cały roczny dochód wioski. I jeszcze musieliby na nic więcej nie wydawać pieniędzy, żeby studnię wybudować. Nie jest to możliwe. Dlatego misjonarze szukają jak najtańszej firmy wiertniczej i jeżeli wspólnota wioskowa zbierze swoją część pieniędzy na pokrycie niewielkich kosztów, po to, żeby być odpowiedzialną za inwestycję, to budujemy. Misjonarze zauważają dużą różnicę w rozwoju wiosek, w których jest nowa studnia, w stosunku do tych gdzie jej nie ma. Tam gdzie jest studnia kobiety mogą zająć się domem, dzieci nauką a dziewczyny są bezpieczne, bo nie chodzą wiele kilometrów po wodę i nie narażają się na napaści. Ludzie stają się współodpowiedzialni za inwestycję, nabierają wiary, że mogą coś zmienić. I często jest tak, że potem w takiej wiosce powstaje szkoła, nowa kaplica i ośrodek zdrowia.

Niestety w tłusty czwartek rano, w główny dzień naszej akcji, zostaliśmy wszyscy zaskoczeni wiadomością o napaści

zbrojnej na naszych sąsiadów za wschodnią granicą. Trudno było w takiej chwili zachęcać naszych przyjaciół do dzielenia się słodkościami z potrzebującymi w Afryce. Wszystkie tematy musiały ustąpić miejsca wojnie. A przecież głodne dzieci w Republice Środkowoafrykańskiej nie zniknęły, ich potrzeby również nie zostały zaspokojone i także tam nie skończyła się wojna pełzająca od 2012 r.

Mimo atmosfery wojennej, która nam towarzyszyła w kraju, nadal prowadziliśmy akcję. Ci, którzy chcieli pomóc, mogli kupić prawdziwego pączka w szkole lub w parafii, tam, gdzie były organizowane kiermasze i zbiórki pieniędzy. Darowizny można też nadal wpłacać na konto naszej Fundacji Kapucyni i Misje, bo potrzeby w Afryce są tak wielkie, że nie uda się ich szybko zaspokoić.



Kiermasz w Szkole Podstawowej im. Włodzimierza Korsaka w Jeninie

Do pomocy afrykańskim rówieśnikom przyłączyli się również uczniowie z ponad 370 szkół i przedszkoli w całej Polsce. Tak relacjonuje akcję pani nauczycielka Teresa Gro-mada ze Szkoły Podstawowej im. prof. A. Waksmundzkiego w Ostrowsku: „Uczennice i uczniowie klasy V ze swoją wychowawczynią p. Urszulą Dębską - Ciężobką tak się ochoczo zabrali do pracy, że w tłusty czwartek upiekli w szkole z przyniesionych przez siebie produktów ponad 140 gofrów. Ozdobili je słodkimi dodatkami, przywdziali dumnie koszulki przysłane przez Fundację i razem poszliśmy do każdej klasy ze skarbonką i słodkim poczęstunkiem. Nie były to pączki, ale gofry też sprawiły wszystkim dużo radości, podobnie jak możliwość włączenia się do akcji. Po szkole rozchodził się pyszny zapach, a efekty tej naszej zbiórki wpłaciliśmy na konto Fundacji. Jesteśmy dumni, że mogliśmy się włączyć w to piękne dzieło pomocy. Uczniowie wszystkich klas, również dzieci z oddziału przedszkolnego, wszyscy byli poruszeni gdy rozmawiałam z nimi o misjach i pokazywałam materiały udostępnione na stronie www.paczek.kapucyni.pl

Życzymy Wam wszystkim: organizatorom i wszystkim Braciom w Afryce przede wszystkim zdrowia i sił do dalszej pracy. I, oby Bóg pozwolił i pomógł rozwiązać pokojowo ten horror wojenny. Czekamy na następne „pączkowanie”.

To naprawdę piękne i budujące doświadczenia. Kiedy prowadzimy jakąś zbiórkę zauważamy radość wolontariuszy i ludzi, którzy przyłączyli się do pomocy. Misjonarze pracujący w Afryce, pokazują nam do jakiego dzieła możemy się przyłączyć. Dają nam możliwość zrobienia dobrych uczynków. Na drobny gest stać każdego z nas. I na szczęście nie marnujemy tej możliwości i ofiarnie pomagamy ubogim, chorym, sierotom i wdowom. Dziękujemy i otaczamy modlitwą wszystkich przyjaciół i darczyńców misji kapucyńskich w Afryce.



Kapucyńska obecność w Algierii

pisze br. Mariusz Matejko z Tiaretu w Algierii



Temat relacji między chrześcijanami i muzułmanami zaczął mnie pociągać w 2005 roku po publikacjach karykatur Mahometa w duńskiej gazecie i po reakcjach dwóch światów: urażonych muzułmanów i laickiej Europy. Pierwsi często posuwali się nie tylko do gróźb, ale i do aktów przemocy, a drudzy w imię wolności przedrukowywali karykatury w coraz to nowych krajach i czasopismach. Oglądając doniesienia medialne z płonących kościołów i słuchając argumentacji europejskich elit intelektualnych, uświadomiłem sobie istniejące w świecie głębokie napięcie między cywilizacją zachodnią – laicką, ale wyrosłą z chrześcijaństwa – i cywilizacją islamską. Odkryłem, że jest to jeden z naszych współczesnych Znaków Czasu.

W tym kontekście zrozumiałem, że Kościół potrzebuje osób, które odejdą od pozycji konfrontacji i instrumentalizacji religii, w których prawda jest jakby bronią i amunicją; że potrzebuje on świadków, którzy będą jak „owce posłane między wilki”, starając się zrozumieć i szukać dróg pokojowego współistnienia z drugim, innym.

Przy tej okazji odkryłem na nowo postać św. Franciszka z Asyżu, który w kontekście nieufności, konfrontacji i krwawych krucjat wybrał się do sułtana Egiptu głosić mu Ewangelię. Nie udało mu się go nawrócić, ale wydaje się, że zdobył sobie sympatię sułtana, a i sam wrócił odmieniony. Odkryłem, że ta ikona spotkania św. Biedaczyny z Asyżu z sułtanem, ówczesnym – wydawałoby się – wilkiem, ma coś do objawienia naszym czasom, a w szczególności współczesnym uczniom św. Franciszka: dać swoje życie w imię Ewangelii i odkryć, że wilk potraktowany jak brat staje się bratem...

Kilka lat później, podczas jednej z naszych kapituł prowincjalnych, nasz najwyższy przełożony zakonny przekazał naszej prowincji zaproszenie biskupa z Algierii, kraju w 99 procentach muzułmańskiego. Dla mnie osobiście było to potwierdzenie pragnienia, które w sobie od jakiegoś czasu nosiłem, i zaproszenie do konkretnego zaangażowania się. Niestety, pomimo dyspozycyjności kilku braci nie udało się wtedy pozytywnie na to zaproszenie odpowiedzieć. Algieria stała się więc dla mnie swoistego rodzaju obietnicą Pana Boga: obietnicą, przy której trzeba trwać i która w swoim czasie się wypełni.

I tak się stało. W grudniu 2013 roku, po krótkim przygotowaniu językowym, zostałem wysłany do Tiaretu, do małej wspólnoty kapucyńskiej na północy Algierii.

Algieria jest największym krajem w Afryce, siedem razy większym od Polski, z podobną liczbą mieszkańców. Przy najmniej trzy czwarte jej powierzchni zajmuje Sahara. Algieria jest dawną kolonią francuską i część jej mieszkańców,

głównie starszych, nadal rozumie i mówi po francusku. Jednak większość używa dialektu języka arabskiego.

Po krwawej wojnie o niepodległość Algieria doświadczyła czasów nieudanego eksperymentu socjalistycznego, zakończonego krachem ekonomicznym, oraz dziesięcioletniej bratobójczej wojny domowej, nazywanej „czarnym okresem”, z ekstremistami muzułmańskimi, którzy proponowali jako lekarstwo na wszystkie problemy stworzenie republiki islamskiej. Wojna zakończyła się na początku tego wieku kompromisem społecznym. Państwo rządzone jest „z tylnego siedzenia” przez wojskowych a nadliczebność wojska, żandarmerii i policji dobitnie przypomina, że raczej nie mamy tu do czynienia z demokracją...

Tuż przed pandemią koronawirusa wybuchły wielkie protesty społeczne przeciwko korupcji i złemu zarządzaniu krajem. Na szczęście dzięki roztropności protestujących i wstrzymaniu ręki rządzących nie doszło do rozlewu krwi. Jednak, korzystając z ograniczeń pandemii, władze „wygasiły” zewnętrzne przejawy ruchu kontestacyjnego i teraz twardą ręką pilnują, żeby nie zorganizował się na nowo. Ale to tylko kwestia czasu...



Ks. biskup w naszej kaplicy w Tiarecie

Ogromna większość mieszkańców Algierii to muzułmanie. Mimo to działa tu Kościół katolicki, zorganizowany w czterech diecezjach, i są tu też wspólnoty protestanckie. W niektórych regionach Kabylji (północno-wschodnia Algieria) jest ponad 10 procent chrześcijan; istnieją nawet małe wioski, które są w większości chrześcijańskie. Ale muzułmanie i tak stanowią 99 procent mieszkańców.

Tiaret to miasto liczące około 200 tysięcy mieszkańców i stolica województwa, które ma około 900 tysięcy mieszkańców. Kapucyni są tu od 2005 roku. Wcześniej mieszkały tu Siostry Franciszkanek Misjonarki Maryi, ale podczas „czarnego okresu” wyprowadziły się w ciągu 24 godzin po otrzymaniu ultimatum od terrorystów. Mieliśmy tutaj kościół parafialny, ale w latach siedemdziesiątych został zburzony z powodu braku chrześcijan, a na jego miejscu postawiono meczet. Do teraz ludzie mówią o nim „meczet kościoła”. Parafia św. Marii Magdaleny, której jestem proboszczem, ma niezdefiniowane granice. Kiedyś zapytałem o nie biskupa, a on z uśmiechem zaproponował mi... przejęcie całego sąsiedniego województwa! Tak, tradycyjne rozumienie parafii tutaj nie działa. To raczej parafia personalna.

Mam więc po opieką około 20 czarnych studentów chrześcijańskich, którzy przyjechali z krajów poniżej Sahary studiować w Algierii. Tylko mała część z nich to katolicy. Większość to różne denominacje protestanckie. Jest w mojej parafii grupka ewangelików algierskich z ich pastorem; postrzegam ich jako jedną z moich „grup parafialnych”. Część moich parafian jest w więzieniach; to głównie migranci skazywani za mniejsze i większe przewinienia. Każde szanujące się miasto i miasteczko algierskie ma swoje więzienie. Unia Europejska dofinansowuje więziennictwo algierskie, aby „podnieść poziom humanitarny” oraz powstrzymać ruch nielegalnych migrantów. Algieria tworzy więc nowe więzienia i u nas w Tiarecie wybudowano takie nowoczesne na 3000 więźniów... Bracia Pascal i Hubert, Francuzi, są kapelanami więzień: tego w Tiarecie i kilku innych oddalonych nawet o 250 kilometrów. Mam też w mojej parafii katechumena, czyli Algierczyka, którzy przygotowuje się do chrztu. Południowa flanką mojej parafii sięga aż do Sahary, do Ain Sefra (ok. 500 kilometrów od Tiaretu), gdzie odwiedzamy i posługujemy duszpastersko Siostrami Franciszkanek, chociaż ich miasteczko terytorialnie należy już do innej diecezji.

Oprócz tego „duszpasterstwa parafialnego” pomagam Kościołowi algierskiemu w formacji algierskich chrześcijan na poziomie narodowym w ramach programu „Monika” (od imienia matki św. Augustyna). Od czasu do czasu jadę do Oranu spotkać się z małą lokalną grupą „Moniki” albo do stolicy, czyli Algieru, gdzie systematycznie spotykają się wszyscy uczestnicy tego programu.

We wspólnocie kapucyńskiej jest nas czterech braci. 75 procent to Francuzi, reszta – czyli ja – to Polacy. Oprócz wspomnianych już Pascala (57 lat), Huberta (67 lat) i mnie (48 lat) jest jeszcze René (88 lat). Przyjechał on do Algierii na misję w wieku 75 lat, „aby bracia mogli żyć we wspólnocie”. Jest naszym nieocenionym shibani (tak określa się człowieka doświadczonego, starszego, mędrca).

Nasze codzienne życie kapucyńskie to wspólna modlitwa, posiłki i indywidualne obowiązki każdego z nas. Pascal jako brat laik udziela się w algierskim stowarzyszeniu ekologicznym, co pozwala mu nawiązywać relacje z ludźmi z naszego miasta, oraz zajmuje się ogrodem. Hubert odwiedza wspólnoty diecezji z ramienia biskupa. Nasze wspólne zajęcie to różnorakie spotkania z tymi, którzy do nas przychodzą. Amis, „przyjaciele”, jak mawiają o nich Francuzi, odwiedzają nas, aby porozmawiać o życiu codziennym, religii, polityce. Są wśród nich nasi sąsiedzi, imamowie z sąsiadujących z nami meczetów, którzy chcą nas nawrócić, handlarze z ulicy, którzy przychodzą do nas po wodę, policja, która chce się upewnić, że wszystko w porządku... Ten wymiar „gościnności Abrahamowej” jest dla nas bardzo ważny. Tu ma miejsce prawdziwa wzajemna wymiana: my przyjmujemy tych, którzy przychodzą, gościmy ich, ale też sami jesteśmy przyjęci i ugośczeni – przez Państwo Algierskie, sąsiadów, społeczność... Nie zawsze jest to proste (np. nie zawsze łatwo dostać wizę, aby tu pozostać) i nie wszyscy w naszym otoczeniu są szczęśliwi z naszej obecności, ale przecież jesteśmy tutaj i bardzo często spotykamy się z prostą ludzką ciekawością i życzliwością.

Te spotkania na poziomie takim zwyczajnym, ludzkim są dla nas równocześnie znakiem czegoś głębszego, mają wymiar teologiczny. To sam Pan Bóg nas przyjmuje tutaj, jego Opatrzność nad nami czuwa (gdy np. sąsiedzi dzielą się z nami potrawami podczas ich świąt albo gdy karmili nas, kiedy byliśmy chorzy na covid), a słowo Jezusa się realizuje: „kto was przyjmuje, Mnie przyjmuje, kto Mnie przyjmuje, przyjmuje Tego, który mnie posłał”. My przyjmujemy Jezusa w tych, którzy przychodzą, ale też oni, chociaż niechrześcijanie, przyjmują Go, ponieważ przyjmują nas jako Jego uczniów...

Czego nauczyłem się i czego ciągle uczę się tutaj w Algierii? Po pierwsze, że ogromnym ryzykiem jest „szufladkowanie” osób ze względu na ich kolor skóry czy religię... Spotkałem tutaj kilkadziesiąt różnych narodowości afrykańskich. Co oznacza „Afrykańczyk”, jeśli oni są tak różnorodni? Wypowiadając to jedno słowo, muszę być świadom uproszczenia. Jeśli nie – wrzucę ich do jednego intelektualnego worka i będę zadowolony, że sobie poradziłem z uporządkowaniem świata, ale niestety radykalnie zredukuję osoby, które przede mną stoją... Eloge, Burundyjczyk, inteligentny,



droga krzyżowa w ogrodzie w Tiarecie



Drzwi Otwarte z okazji 800 lecia spotkania św. Franciszka i Sultana

chętny do posługi; Gloria, pięknie śpiewająca dziewczyna z Konga RDC; Fred, uśmiechnięty kombinator z Kamerunu; Modeste, młody, gorliwy ksiądz fidei donum, który uratował się podczas ludobójstwa w Rwandzie i teraz pracuje u nas – i tak dalej. Jakaż różnorodność! Podobnie kwestia religii. Co z tego, że nazwę kogoś „katolikiem”? Co to w praktyce oznacza? Że był ochrzczony w Kościele katolickim? Że chodzi na Mszę świętą? Że lubi papieża? Człowiek patrzy na to, co widoczne dla oczu, a Pan Bóg patrzy na serce. I kiedy modlimy się wspólnie, katolicy i chrześcijanie innych denominacji, myślę, że to jest dopiero Kościół... Dlatego uczę się być pasterzem katolików i niekatolików, chrześcijan i niechrześcijan... Co to oznacza dla mnie, że mam „parafian” muzułmanów? Czy każdy muzułmanin to terrorysta? Uświadomiłem sobie różnorodność także w łonie islamu: szyici i sunnici, mozabici, salafici, sufi... Teraz te pojęcia mają dla mnie konkretne twarze, wiążą się z nimi określone historie i emocje... W każdym przecież działa Duch Święty. Uczę się być Bożym Sherlockiem Holmesem, teologicznym detektywem, który szuka śladów Boga, Ziaren Słowa w tych, z którymi się spotykam.

Uczę się tutaj gościnności, umiejętności „tracenia czasu” dla drugiego człowieka, słuchania go i rozumienia go. Towarzyszenia mu.

Uczę się dawania mojego życia dla Ewangelii, nawet jeśli nie zawsze formalnie się do niej odwołuję. Rozumiem lepiej wezwanie św. Franciszka z Reguły Zakonu, aby misjonarzować „nie wdając się w spory, ale będąc poddanym każdemu stworzeniu, przyznawać się do swojej wiary”, a gdy się rozeczna wezwanie Ducha – „otwarcie głosić Słowo Boże”. Tak właśnie staramy się żyć.

I uczę się, że dla Pana Boga liczy się konkretna osoba, nie liczba. No bo ja mam sześciu katolików algierskich w grupie „Monika” w Oranie. A może w Polsce albo jakimś innym kraju misyjnym miałbym takich wiernych 120. No i? Przecież pasterz zostawia 99 owiec na pustyni, aby „szukać jednej zaginionej”. Tak właśnie: tych sześciu w mojej grupie to jest tych sześć „pojedynczych owiec” szukanych przez Dobrego Pasterza. No i oczywiście ja jestem siódmą! I tych 120 osób to także byłoby 120 „pojedynczych owiec” szukanych przez Dobrego Pasterza. No i ja oczywiście byłbym 121-wszą „pojedynczą owcą”. Wszystko jest w porządku, póki to rozumiem. Jeśli zaczynam tylko porównywać liczby, schodzę na manowce. Tutaj Kościół – skoncentrowany na osobach, nie na liczbach – staje się bardziej przeźroczystym znakiem tego Dobrego Pasterza.

Dziękuję tym, którzy w lekturze dotarli do końca. Chcę Was pozdrowić i życzyć tej otwartości na drugiego, innego obok nas, w którego twarzy objawia się Inny, Bóg (jak o tym pisze filozof Levinas). Tym naszym drugim, innym może być po prostu żona/mąż, dziecko, teściowa, sąsiad, kolega z pracy, imigrant... Ostatecznie każdy człowiek to taki mały wszechświat, niesprowadzalny do pojęć: prawdziwa tajemnica, sakrament obecności Boga. Niech Duch Święty pomaga nam przekraczać nasze stereotypy i uprzedzenia, żeby prawdziwie spotkać się z drugim, innym, i może – inshallah („jeśli Bóg zechce”) – w wilku rozpoznać brata.



Wielkanoc z ówczesnym generałem zakonu, Mauro Jori



Przysłowia w języku ngambay

pisze br. Piotr Walocha z Bam w Czadzie



Jeszcze kilka dni będziemy przeżywać Wielki Post. Okres czterdziestu dni walki duchowej ze złem, z grzechem, który jest obecny w życiu każdego człowieka, w rodzinach i w naszym świecie. Prawda o złu istniejącym w naszym życiu dała o sobie znać, w sposób wyjątkowy, w czasie niesprawiedliwej agresji wojsk rosyjskich na naszego sąsiada ze wschodu, na Ukrainę. Ta wojna, to kolejny bardzo bolesny dowód, że grzech jest bardzo zakorzeniony w ludzkich sercach i w życiu społeczeństw. Dlatego podczas Wielkiego Postu jesteśmy wszyscy wezwani do walki przeciwko grzechowi, przeciwko złu, które pragnie wtargnąć wszędzie. Módlmy się także o pokój dla mieszkańców Ukrainy, o pokój w świecie i w naszych sercach. Chrystus, który zwyciężył zło i grzech na krzyżu, jest źródłem wszelkiego pokoju. Niech Jego obecność i łaska umacniają nas w walce ze złem, abyśmy byli solidarni, gotowi do wzajemnej pomocy. Abyśmy byli ludźmi niosącymi pokój wszędzie tam, gdzie Bóg nas posyła.

Przytaczam trzy przysłowia w języku ngambay mówiące o walce, niesprawiedliwości i ludzkiej solidarności:

„Dew tunga der ndor. de el”

Dew - człowiek
tunga - plectrum, splecenie
der - tarcza ochronna
ndor. - w dniu wojny
el - negacja

Tłumaczenie: Nie plecie się (przygotowuje) tarczy obronnej w dniu rozpoczęcia wojny.

Splecenie tarczy z trzciny wymaga wiele czasu. I nie jest też łatwo znaleźć trzcinę, z której robi się tarcze wojenne. W ciągu jednego dnia nie zdąży się pójść do buszu, znaleźć i ściąć trzcinę, wrócić do domu i przygotować tarcze.

Sens przysłowia: Należy podjąć odpowiednie kroki i przygotować się do określonego przedsięwzięcia, zanim nie jest za późno. Jeżeli ktoś zwleka, to można napotkać duże trudności w realizacji zamierzenia.

Przykład: Dach ze słomy domu rodziny Lawumay jest w bardzo złym stanie. Właściciel domu powinien go naprawić od razu po zakończeniu pory deszczowej. Ale niestety zmęczenie i lenistwo wzięły górę. Podczas sześciomiesięcznej pory suchej dach nie został naprawiony. Na początku kolejnej pory deszczowej, kiedy deszcze zaczęły padać, właściciel prosi sąsiadów o słomę na naprawę dachu. Ale nikt już nie ma odpowiedniego materiału. W odpowiedzi sąsiedzi cytują mu przysłowie: „Nie przygotowuje się broni w dniu rozpoczęcia wojny.”

„Do ndogo ge goji daa mula uwa kunja kene”

Do ndogo - ogrodzenie
ge - które
goji - małe
daa - zatem
mula - dziki kot
kunja - kura
kene - w środku

Tłumaczenie: Dziki kot zawsze schwytuje kurę, nawet jeśli kura jest za ogrodzeniem.

Sens przysłowia: Słabszy jest zawsze poszkodowany.

Przykład: W jednej wiosce grupa chłopców śmiała się z ich rówieśnika, ponieważ nie przeszedł jeszcze inicjacji. Prześladowany chłopiec nie miał odwagi reagować na ich docinki. Pewnego dnia kolejny chłopak, młodszy o dwa lata, zaczął naśladować innych i też naśmiewać się z niego. Ten nie zastanawiając się, mocno go uderzył. Dziecko płacząc, zacytowało mu przysłowie: „Dziki kot zawsze schwytuje kurę, nawet jeśli kura jest za ogrodzeniem.”

„Inga do doi de daa mese ay de kemi de”

Inga - znaleźć
do - rana
doi - czoło
daa - zatem
mese - krew
ay - płynie
de - na
kemi - twarz

Tłumaczenie: „Jeśli masz ranę na czole, krew płynie na twoją twarz”

Sens przysłowia: Solidarność między braćmi jest jak między członkami jednego ciała.

Przykład: Pewien rolnik chciał kupić wóz. Musiał poczekać jeszcze trochę czasu, póki nie rozpocznie się sprzedaż wozów dla rolników. Oczekując na kupno wozu, powierza oszczędzone przez siebie pieniądze swojemu przyjacielowi, aby mu przechował. Rolnik zabezpiecza się, gdyż boi się, że wyda pieniądze na inne cele. Zastrzega przyjacielowi, że ma mu oddać pieniądze tylko w dniu kupna wozu. Tymczasem kilka dni później, zatrzymano brata rolnika za kradzież. Aby brat mógł być zwolniony z aresztu, ktoś musi zapłacić kaucję równą połowie ceny wozu. Rolnik idzie do przyjaciela, aby oddał mu jego pieniądze. Ten nie chce mu dać, ponieważ wcześniej ustalili zasady. Rolnik tłumaczy, że brat jest ważniejszy od wozu i cytuje mu przysłowie: „Jeśli jesteś zraniony na czole, krew płynie na twoją twarz”.

Pozdrawiam serdecznie z Czadu,
z darem modlitwy o pokój. br. Piotr



TWÓJ 1%

DOKONA WIELKIEJ ZMIANY

nakarmimy dzieci
zbudujemy szkoły
zbudujemy studnie

**PRZEKAŻ 1% PODATKU NA RZECZ FUNDACJI
KAPUCYNI I MISJE KRS: 0000356850**



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

PRZYŁĄCZ SIĘ DO MISJONARZY KAPUCYNÓW!
www.fundacja.kapucyni.pl



Zdecyduj się i pomóż!

**SEKRETARIAT MISYJNY
Zakonu Braci Mniejszych Kapucynów
– Prowincji Krakowskiej**

opiekuje się misjonarzami pracującymi
na kontynencie afrykańskim
w Republice Środkowoafrykańskiej
i Republice Czadu.

**Wspieraj misje swoją modlitwą,
pracą i ofiarą.**

Sekretariat Misyjny Kapucynów
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO BP: 97 1020 2892 0000 5502 0016 6371

FUNDACJA KAPUCYNI I MISJE

zajmuje się organizowaniem i niesieniem pomocy
humanitarnej, dobroczynnej i charytatywnej ludziom
potrzebującym w krajach afrykańskich,
w których pracują misjonarze z Zakonu
Braci Mniejszych Kapucynów.

Przyłącz się do nas już dziś!

Fundacja Kapucyni i Misje
ul. Korzeniaka 16, 30-298 Kraków
PKO S.A. 47 1240 4533 1111 0010 3492 9934
www.fundacja.kapucyni.pl



FUNDACJA
KAPUCYNI I MISJE

1% KRS: 0000356850 

Biuletyn „Kapucyni i misje”

Za zgodą władzy zakonnej.
Do użytku wewnętrznego Kościoła.
Koszt prenumeraty to dowolna ofiara
na pokrycie wydatków związanych z drukiem.

Wydawca:

Sekretariat Misyjny, ul. Korzeniaka 16
30-298 Kraków, tel. (+48 12) 623 60 50 wew.132
e-mail: misje@kapucyni.pl
www.misje.kapucyni.pl

Redakcja:

br. Jerzy Steliga OFM Cap (red. naczelny)
Diana Bonowicz
Nakład: 7000 egz.

Skład i druk:

Studio Graphito, tel. 71 310 21 65



UKRAINA.KAPUCYNI.PL



**Dla braci kapucynów niosących
pomoc ofiarom wojny w Ukrainie**